Lwów, 6. Marca. Nr 27. Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartał. 1 Złr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmuja się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział. ce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każ. dorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

W chwili, gdzie dziennik nasz idzie pod prasę, o godzinie pół do szóstej, dnia 5go marca, dwadzieścia jeden salw działowych oznajmiły iż Najjaśniejsza Cesarzowa powiła córkę.

DZIWO-ŻONA.

Powieść społczesna
przez
Zygmunta Kaczkowskiego.
(Ciąg dalszy.)

W kilka dni po tej scenie gwałtownej, odegranej w pałacu Edmunda, Kamil już się znajdował na wsi, w samotnym dworku swojej górskiej wioszczyny

Chodził on wielkiemi krokami po pierwszej izbie i w myśli powtarzał sobie to wszystko, co się z nim stało dotychczas. Z jego włosów, rozrzuconych w bezładzie, z pomięszanej cery na twarzy, z ust spieczonych gorączką, widać było, że go te ostatnie wypadki dojmowały jeszcze dość żywo, ale oczy jego już były spokojniejsze cokolwiek, niedawno jeszcze tak szkaradnie piekielne ich ognie teraz już przygasły i spopielały — a usta powtarzały jeszcze tylko słowa ulubionego wieszcza, mówiąc głosem rospaczliwym:

Wszystko prowadzi dziwnie Boża ręka!...
Tak dziwnie — że mi serce wre i pęka....

Tak usposobionego zastał go ks. Augustyn. Pobożny kapłan ten najpierwej z prawdziwie kapłańską cierpliwością wysłuchał szaleńca, jego niecierpliwej spowiedzi, wysłuchał jego niesprawiedliwych skarg na Edmunda, jego krwawych narzekań na losy, na świat i ludzi, nawet przekleństwa i bluźnierstwa słuchał z szczególniejszem wyrozumieniem i niesprzeciwiając się nic mówiącemu, ażeby się od razu ze wszystkiem wygadał. A kiedy ten skończył, tamten tak się do niego odezwał:

— Wysłuchałem ciebie cierpliwie i nieprzerwałem ci ani razu, chociaż namiotałeś nie mało szkaradzieństwa na rzeczy takie, które są świętościami dla każdego zacnego człowieka....

— Tylko proszę cię, — zawołał na to porywczo Kamil, — uwolń mnie od twojej świątobliwej nauki. Mam jej już dosyć i od ciebie i od arcy-pobożnej panny archiwiścianki, od której mnie przecie, czy pan Bóg przez szczególniejszą łaskę swoją nademną, czy szatan przez grzeczność uwolnił.... Ten czy ów, zawsze mu tylko wdzięcznym być mogę, bo teraz dopiero widzę, jak-bym był przy niej resztę życia odkatechizmował... Daj-że mi ty przynajmniej pokój z tym katechizmem, bo naprzód ci powiadam, że czy będę za to w oleju czy w smole smażony, czy będę siedział w kotle na brzegu, czy na dnie, od was... niczego się nie nauczę!

— Kamilu, — zawołał na to z boleścią ks. Augustyn, jesteś zakamieniałym...

— Grzesznikiem, — dodał prędko Kamil, — potępionym, przeklętym i nic mnie już ze szponów szatana wybawić nie potrafi; dlatego proszę cię, daj pokój wszelkiej świątobliwej nauce. Chyba... że tobie to jest potrzebne... że chcesz sobie przez to zrobić u Boga zasługę?... w takim razie chętnie ci będę służył za warsztat do zasług.... siadam i słucham.

— Nie, — rzekł na to ks. Augustyn, patrząc z obrzydzeniem na zapomniałego bluźniercę, — za nadto dobrze znam się na ludziach i za nadto drogi jest czas mój, ażebym go miał marnować na rzucanie grochu o ścianę. Z obłąkanymi zresztą trudna jest sprawa przez rozum i słowa, a tyś jest obecnie w stanie obłąkania.

— Tak, tak, jam obłąkany, szalony, głupi, występny, zbrodniarz, zbójca i co ci się tylko podoba!

— Nie, nie to wszystko, — mówił spokojnie kapłan,— tyś tylko obłąkany na umyśle i chory na nerwy. Takich nikt słowami nie leczy i ja też nie będę. Jakoż nie po to tutaj przyszedłem; ale przyszedłem po to, ażeby jeszcze spróbować cię leczyć uczynkiem.

— Uczynkiem? cha, cha cha! — zaśmiał się Kamil, cóż zechcesz? może krew puścić? bańki mi przystawić? czy może operacyę jaką mi zrobić, n. p. łeb uciąć; cha cha cha! wierzaj mi księże, to środek najlepszy na takich jak twój Kamil szaleńców! Aplikują go też niekiedy w teraźniejszych czasach.... i przyznać trzeba....

— Milcz! — krzyknął na to w pełnem oburzeniu starzec i wstawszy z miejsca, przeszedł się kilka razy po izbie, ażeby ściśnionemi piersiami trochę wolniejszego zaczerpnąć powietrza. Poczem stanął naprzeciwko Kamila i tak mówił głosem prędkim lecz zarazem stanowczym:

— Słuchaj! nie będę wiele słów tracił z tobą, boś ich nie wart zupełnie. Przyjdzie czas, w którym krzyżem będziesz leżał za każdą myśl twoją dzisiejszą, daj Boże, ażeby nie przyszedł za późno. Ja chcę ci dzisiaj tylko to jeszcze powiedzieć, że niepotrzebnie zrobiłeś taką scenę Edmundowi, bo nie zasłużył sobie na nią mąż ten szla

chetny i niesplamiony żadnym niecnym uczynkiem. Będę prosił Boga, ażeby za tę krzywdę On go wynagrodził, kiedy ty w twej ślepocie o tem nie pomyślisz. A powtóre przyszedłem ci oświadczyć, że równie niepotrzebnie rozpaczasz o stratę Hani, bo ona może jeszcze być twoją. Jest ci wprawdzie stryjeczno-rodzoną siostrą, ale i w tym stopniu pokrewieństwa można się pobrać za pozwoleniem ojca świętego, a ja ci takie pozwolenie wyrobię.

Ale Kamil już tylko szyderczo się na to uśmiechnął i z udaną grzecznością odpowiedział w te słowa:

— Można to? proszę! nic o tem nie wiedziałem!..... Ale chociaż to można, ja przecież ani za pozwoleniem ojca świętego kazirodztwa popełniać nie chcę: a dziękując waćpanu dobrodziejowi za łaskawie mi ofiarowaną protekcyę, z ręki panny Anny jak najsolenniej kwituję.

Na taką odpowiedź, ksiądz Augustyn z wyrazem głębokiej boleści spojrzał na Kamila, pokiwał głową — i wyszedł.

Kamil został sam jeden. Przez resztę dnia zmieniało się jego usposobienie co chwila, — to był smutnym i chmurnym, to śmiał się po szatańsku, to mówił sam do siebie półgłosem. I kilka dni jeszcze tak coś różnie nad sobą rozmyślał, ważąc się zapewne w tych myślach pomiędzy różnemi projektami które mu się nasuwały, — ale wreszcie zdecydował się i napisał list do ojca, że wioskę przyjmuje na siebie i w niej będzie mieszkał. Jednocześnie z tym listem, zapisał sobie ze Lwowa kilkaset książek, kilkanaście dzienników, kucharza i cokolwiek sprzętów domowych, dywanów i różnych gratów do wygody niezbędnych. Wieczorem zaś zapowiedział Szłykowi, któremu zdał gospodarstwo, ażeby wczas żniwa zaczynał: bo po żniwach daruje swojej gromadzie pańszczyznę i wszystkie powinności, żadnych gruntów odtąd zasiewać nie będzie, a wioskę zamieni w ogród dziki, w pustynię, w grób kolosalny dla reszty dni swego życia. I stało się tak jak rozkazał. Nieokiełzany szaleniec, nie umiejąc pogodzić się z ludźmi, uciekał przed nimi i żyć zaczął samotnie.

I samotność ta zdawała się być bardzo zbawiennem lekarstwem dla niego.

Uspokoił się w sobie, zaczął rozmyślać nad sobą i z temi myślami puszczał się na dalsze po górach i lasach wędrówki.

Wędrówki te jeszcze zbawienniej na nim skutkowały, niżeli samotność. Już to raz kiedyś przed laty doświadczył on na sobie tych skutków. Zdrowe i czyste powietrze, wielkość i potęga natury, rozległość widoków, dzikość skał i surowy wzrok lasów przedpotopowych, ocuciły go wtenczas z książkowej pleśni, upokorzyły w nim butę rozumu, rozbudziły w nim ludzkie serce i ziemskie, naturalne uczucia. Dzisiaj to wszystko jeszcze prawie głębsze na nim uczyniło wrażenie i słusznie, bo dzisiaj był on jeszcze więcej spleśniały i odczłowieczony niż wtenczas, i dzisiaj ta olbrzymia karpacka natura, oprócz wielkością i prostotą swych kształtów, przemawiała jeszcze do niego wspomnieniami jego własnej młodości.

A jaką-że to moc wielką mają nad człowiekiem podobne wspomnienia!

Kamil więc błądził po puszczach i marzył o owych, jedynie może szczęśliwych chwilach swojej tak nieszczęśliwej młodości. Przechodził wszystkie ścieszki od owego czasu sobie znajome, rozmawiał ze wszystkiemi skałami tak wymownemi naówczas, zatapiał się w te same, do dziś dnia jeszcze pamiętane widoki, powtarzał sobie wszystkie myśli, które w dniach owych snuły się po jego głowie. I te myśli, te plany, te nadzieje owego czasu, które zdawały się tak pewne, że nie miał ani przeczucia zawodu.... wszystko to jak wichr przeminęło! i jak z wichru w powietrzu, tak i z nich na ziemi nie zostało ni śladu!

I cóż są warte nadzieje!?...

Tak myśląc o wszystkich szczegółach ówczesnego swojego życia, przypomniał sobie nakoniec ową piękną rzeczywistość nad Jarem pogańskim. Chwila ta była najdroższa jego zrozpaczonemu sercu, miejsce to najpiękniejsze z całego świata.... Postanowił więc i to miejsce odwidzić.

Była to późna chwila popołudniowa, słońce letnie już się kryło za wierzchołki czarnych sosen, okrywających grzbiet wielkiej góry, powietrze napełniło się ciężką wonią wieczorną, ptactwo się zlatywało ku lasom, siniały góry dalekie, mgły niebieskawe osiadały w nizinach, kiedy przed oczyma Kamila roztoczył się nagle widok owego Jaru głębokiego, który tak pamiętnym był jego młodości. Kamil rzucił ciekawemi oczyma w to miejsce i wszystko tak znalazł, jak było natenczas. Drzewa tylko wszystkie cokolwiek zmężniały i jałowce znacznie powyrastały z tej strony Jaru, a z tamtej puszcza jeszcze więcej się zagęściła i ów dąb stary, wypalony we środku, jeszcze kilka nowych upuścił na ziemię konarów.

Kamil się przykuł oczyma do tego dębu. I stał tak oparty o drzewo, patrząc nieruchomie na tamtą stronę i myśląc. I snać musiał wszystkie ówczesne chwile przebiegać myślą, i z każdą pieścić się słodko i długo, kiedy aż usiadł na pniu omszonym, głowę pochylił w otwarte dłonie i tak utonął głęboko w tej czarującej przeszłości, że był nieruchomym jak głaz i zdawał się być tylko konarem pnia tego na którym siedział. W samej rzeczy tak żywo go te wspomnienia zajęły. Przebiegł on je wszystkie koleją, aż do owej chwili, gdy z domu Edmunda wyjeżdżał, gdy list Adeli czytał i kiedy tak gorącemi łzami się zalewał. A kiedy je skończył, żal mu ich było i niektóre z nich jeszcze raz sobie powtarzał.... i porównywał je z stanem swoim dzisiejszym. I widział się wracającym z dalekiej po świecie wędrówki, wracającym z swoją dawną miłością, kochającym i wiernym, nie tej, którą dziś zastał, — ale tamtej, którą ukochał natenczas, które duch mieszkał dotychczas w tych opustoszałych miejscach

której obraz żywy stał przed jego oczyma..... I marzył dziwnie pięknie o takim powrocie... i pobiegł za marzeniami swojego mistrza, czując to w sercu swojem, że napróżno tyle gromów uderzało w tę miłość... napróżno usta usiłowały ją przekląć...

Napróżno serce truciznami poim!
Kochanko pierwszych dni! — znów jestem twoim!
. . . .
Patrzaj! powracam bez serca i sławy
Jak obłąkany ptak i u nóg leżę.
O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! — głos mój śród wichru i wrzawy
Słyszałaś... w równej zawsze strojny mierze...
I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną,
Ja — co przebiegłszy świat, kochałem jedną!
Twój czar nademną trwa. —
. . . . O! ileż razy
Na skałach i nad morzami bez końca,
W oczach twój obraz, w ustach twe wyrazy,
A miłość twoją miałem nakształt słońca
W pamięci mojej. — Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — a łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie plamiła:
Twa dusza znała to — i przychodziła...

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne,
Jedna z marmuru a druga z promienia;
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne
I nie ruszały włosów ni odzienia.
Między kolumny na niebie się kreśląc,
Staliśmy jak dwa sny — oboje — myśląc.
. . . . Ostatni-to raz o! miła
Mówię do ciebie. — Jest-to błyskawica,
Która ci chmurę posępną odkryła,
I boleść wyszła z niej jak nawalnica!
. . . .
Bądź zdrowa! odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mnie duchy w inną stronę,
Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołysze
I z czoła mego podnosi zasłonę,
Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
Wyrok, łamiący mnie między stracone....
Ja czekam, krusząc wyroki okrutne....
Twe oczy patrzą na mnie — takie smutne!...
Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy—
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdziesz, do zbielałej róży
Podobna, zasnąć!...
Dosyć! pieśń skończona!...
Oko się moje senne łzami mruży....
W piekielną ciemność leci moja głowa....
Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrowa!

Tak zakończywszy te, w głowie gorącej odegrzane uczucia, zerwał się Kamil z miejsca i jeszcze raz okiem rzucil na ów *Jar pogański*, który był główną sceną jego teraźniejszych marzeń i myśli. Ale zaledwie wzrok jego dotknął się tamtej strony *Jaru*, cofnął się nagle... Rzecz dziwna! zdawało mu się, jak gdyby tam dojrzał jakąś postać kobiecą. Nie dowierzając swoim oczom, na pół rozmarzonym, przetarł je ręką i znowu tam spojrzał, ale tam w samej istocie, przy samym dębie owym, który czarnem wnętrzem swojem świecił jak paszczą piekielną stała jakaś kobieta.

Miała ona jedną rękę opartą o korę dębu, drugą niedbale opuszczoną ku ziemi, twarz trochę przybladłą i głębokim smutkiem obleczoną, oczy niby spłakane, błagające i wprost na Kamila zwrócone.

Zmrok już zaczął padać natenczas i z trudnością tylko można było rozeznawać przedmioty, — Kamil więc postąpił o kilka kroków naprzód, wpatrzył się z natężeniem i poznał.... To była Adela.

Była ona ubrana w jakąś ciemną, wlokącą się suknię, na głowę miała zarzucony przezroczysty szal z białej cieniutkiej gazy, i w tem ubraniu, i w tej kornej, błagającej postaci — dziwnie uroczo wyglądała Adela.

Pomimo to jednak Kamil, poznawszy ją, rzucił się w bok z oburzeniem i zawołał surowym głosem:

— Czego pani żądasz odemnie?

— Ja od-pana nie żądam niczego, odpowiedziała miękkim ale pewnym głosem Adela, i czegóż-bym mogła jeszcze żądać od tego, który był w stanie ubóstwioną niegdyś przez siebię istotę srogiem obrzucić przekleństwem!

— Więc pocóż pani tu przyszłaś? — zapytał Kamil szyderskim głosem.

— Przyszłam zabrać ze sobą z tych miejsc uświęconych czyste tchnienia mojej pierwszej miłości, — mówiła na to Adela....

— I zostawić natomiast? — spytał porywczo lecz zawsze z szyderstwem Kamil.

— I zostawić natomiast żal krwawy do tego, który pierwszą swą miłość rozpoczął występkiem a zakończył przekleństwem!....

Kamil zastanowił się chwilkę, oczyma duszy spojrzał w swe serce, odetchnął głębiej i rzekł:

— Prawda! tak było... ale cóż się należy tym, którzy taką miłość najszkaradniejszą nagradzają rospustą?

— Któż-to panu powiedział? — zapytała stanowczym głosem Adela.

— Ja sam na własne oczy widziałem! — odpowiedział z energiją Kamil.

— Cóż pan widziałeś?! — spytała jeszcze z większą energiją a zarazem z ironiją Dziwo-żona.

Na to Kamil znowu się zastanowił, oczy opuścił ku ziemi a po chwili wyszeptał półgłosem do siebie:

— I cóż ja to widziałem?...

— Cha cha cha! — zaśmiała się na to tak donośnie tryumfującym głosem Adela, że aż się echo od niego odbiło i rozbiegło z szumem na wszystkie cztery strony tej dzikiej pustyni, a w tym głosie było coś tak przeraźliwie przejmującego, że każdy inny na miejscu Kamila był-by zadrżał ze strachu i uciekł z tego czarnego, karpackiego ostępu, który jeszcze tem straszniejszym się teraz wydawał, ile że go noc ciemna swoim ponurym płaszczem ze wszystkich stron okrywała.

Ale Kamil ani ruszył się z miejsca, — zdawało się że śmiech ten miał jakąś moc straszną, podziemną w sobie, i wionąwszy na niego, w głaz go na chwilę zamienił. W istocie też, póki tylko jeszcze ostatnie echa tego śmiechu dolatywały do jego uszu, stał na miejscu jak martwy, nic nie czując, ani widząc przed sobą. A kiedy się ocknął z tej martwoty, to zamiast przeżegnać się krzyżem świętym i uciekać do domu, począł się zwieszać z tej i z owej strony nad Jarem, zaglądając iskrzącemi oczyma w głąb puszczy. Ale tam już cisza była jak w grobie, — tylko las stary szumiał jakimś niezrozumiałym, chropowatym akordem, jak gdyby starzec jaki nabożny, odmawiający pacierze przed nocą. Kamil jak odurzony, posunął wolnym krokiem do domu.

Przez parę dni następnych był on w dziwnem jakiemś usposobieniu umysłu i nerwów. Kto zna siłę dawnych namiętności, nowem odżywionych wspomnieniem, ten się nie będzie dziwił, żeśmy tutaj wspomnieli o nerwach i dla tego teraźniejsze usposobienie Kamila nie będzie zagadką. Sile tej, prącej go z całą gwałtownością nerwowego wzburzenia, nad brzegi Jaru, opierał się Kamil z całą możliwą w tym razie energiją, — ale, jak to najczęściej w podobnych walkach się dziać zwykło na ziemi, nakoniec — ziemia zwyciężyła, duch upadł. (D. c. n.)

Teofilowi na pamiątkę pogadanki.

Wiem że głos mój przeminie!
Jak głos fletu w dolinie,
Jak młodzieńcze marzenie,
Jak serdeczne westchnienie.

Wiem że zabrzmi i skona,
Jak ma młodość stracona,
Jak tułacze tęsknoty,
Jak wołanie sieroty.

Jednak śpiewać ja muszę
Póki piersi nie skruszę,
Póki deska grobowa
Przed ludźmi mnie nie schowa.

Bo od dni mych pierwiosnka
Łzami była mi piosnka,
Gdy ból serce rozrywa,
To mi w duszy coś śpiewa.

Smutnom młodość przewłóczył,
Los piosenek mnie uczył,
Smutnaż piosnka jak dola,
Ach! nie moja w tem wola.

Śpiewam ci ja w tej dobie
Jeno Bogu i sobie,
I tym braciom kochanym,
Tak jak i ja stroskanym.

O mój Boże, mój Panie!
Przyjm to moje śpiewanie,
Jak przyjmujesz w kościele
Polne kwiatki i ziele.

O mój Boże, mój Panie!
Przyjmże moje śpiewanie,
Jak przyjmujesz z krzewiny
Świegot biednej ptaszyny.

O mój Boże, mój Panie!
Przyjm to moje śpiewanie,
Jak przyjmujesz szmer fali,
Co tam niknie gdzieś w dali.

A niech bracia rówieśni
Ucieszą się z mej pieśni,
I choć we śnie zobaczą
Za czem tęsknią i płaczą.

K. Baliński.

NOWY SICIŃSKI.

Czytając w dziejach o naszym Sicińskim, pośle Upitskim, przychodziło mi nieraz na myśl, że nie był to charakter wyjątkowy, ale raczej typ czysto narodowy, którego nie rzadkie exemplarze do dzisiaj na ziemi naszej zdybać można. Poseł Upitski za Jana Kazimierza zerwał r. 1652 sejm Warszawski, wpisawszy protestacyą do aktów, i rzuciwszy pierwsze i szkodliwe weto, w nocy potajemnie wyjechał. Smutne to było zdarzenie, bo na owym sejmie po raz pierwszy chciano roztrząsnąć przyczyny wojny kozackiej. Zerwanie sejmu tego miało to smutne następstwo, że nie obmyślono sposobów na przyprowadzenie do końca sprawy kozackiej, co dodało otuchy Chmielnickiemu, i mnogie przez wojnę kozacką sprowadziło nieszczęścia na biedną rzeczpospolitę polską.

Owoż i dzisiaj mamy mnogich tego rodzaju Sicińskich, których całe życie zdaje się nie być czem innem, jeno ciągłem *veto*, rzucanem w społeczeństwie naszem przy każdej sprawie ważniejszej.

Znałem przed laty i sąsiadowałem nawet na wsi z jednym podobnego rodzaju Sicińskim. Czy był jego potomkiem czy nie, po mieczu czy po kądzieli, nie umiem państwu powiedzieć, ale był on istną w życiu swem całem opozycyą. Niepozwalam, było jego godłem, niepozwalam zawsze i wszędzie, przy każdej sposobności powtarzał pan Józef, godny Sicińskiego potomek.

A że od czasu do czasu dawnego Sicińskiego wiele zmieniło się w społeczeństwie naszem, więc i pan Józef swoje *niepozwalam,* zachowywał w sposob zupełnie inny, niż jego poprzednik, poseł Upitski. Nie po dawnemu, nie po sejmikowemu krzyczał on na całą gębę z akompaniamentem dobytej szabelki, ale jako człowiek wykształcony używał on broni prawdziwie francuskiej, broni najstraszliwszej choć najłatwiejszej, broni śmieszności. A że nic łatwiejszego, jak choćby w najważniejszej sprawie śmieszną odkryć stronę, więc było to pana Józefa ciągłem i nieustannem zadaniem.

Do wszystkiego się wmieszać, wszystko wydrwić i wyśmiać było najulubieńszą pana Józefa zabawą. Gorąco na pozór zajęty dobrem ogółu, pożytkiem kraju i ziomków, żadnej nie przepuścił on mniej czy więcej ważnej okoliczności, żadnego przedsiębierstwa, żeby się doń z największym nieprzyłączał zapałem. Wszystkich stowarzyszeń w kraju zawiązanych był on rzec by można ojcem chrzestnym. I tyleż właśnie o nie dbał ile zwykle w czasach dzisiejszych dba ojciec chrzestny o przyszły los swego chrzestniaka. Każda kwestya spółczesna obchodziła go żywo, ale tylko z początku. Skoro tylko kwestya ta w pełne wchodziła życie, i do jakiego praktycznego zwracała się zastósowania, mój pan Józef znalazł zaraz jakiś powód do swego weto, i jak ś. p. poprzednik jego, poseł Upitski, usuwał się chyłkiem i milczkiem, i potem z dala, by swoje zapewne uniewinnić usunięcie się, mnogie wynajdywał powody do wiecznej, nigdy nieustającej krytyki.

Pamiętam razu jednego, przyjechałem go odwidzić. Ledwie mnie postrzegł i przywitał, zaczął mi z zapałem, ale to z zapałem kaznodziejskim wychwalać i pod niebiosa wynosić nowe jakieś pismo czasowe, które się właśnie w ówczas pod przewodnictwem kilku literatów zawiązało.

— Spodziewam się, że wesprzesz tak ważne, tak pożyteczne, tak szlachetne przedsiębierstwo, powtarzał on mi razy kilka, i przez cały przeciąg mojej wizyty niewychodził z wykrzykników.

Przedsiębiorstwo w rzeczy samej było pożyteczne jak się zimną krwią i bez zapału przekonałem, jakoż w całej okolicy naszej, pismo to nowe znalazło wielu prenumeratorów. [Między niim myślicie zapewne, że pan Józef główną odgrywał rolę? Gdzie tam?. Ani jednego niezaprenumerował egzemplarza. Dla czego? Bo pan Józef jest jak mówiłem prawdziwym Sicińskiego potomkiem. Już to dodać potrzeba, że pan Józef jak ma z jednej strony wielką sympatyę do słowa *niepozwalam*, tak z drugiej strony olbrzymią ma antypatyę do słowa *daj*! Od tego słowa skoro mu je kto wymówi, ucieka jak diabeł od wody święconej! I dla tego każde przedsiębiorstwo mu zawadza, bo nie dosyć trzymać je do chrztu, ale trzeba przyłożyć się nieraz doń ofiarą pieniężną. Tego zaś pan Józef nie lubi wyraźnie.

Lecz nie koniec na tem, w parę miesięcy odwidziłem go znowu. Jak to na wsi mówi się o tem i o owem, wspomniałem o wyszłych już zeszytach nowego pisma czasowego.

— Głupiuteńkie pismo! ozwał się pan Józef stanowczo.

I z szyderczym uśmiechem poprowadził mię do swojej kancelaryi, i pokazał mi.... co?.... porobione przez siebie samego rysowane karykatury, na główne pisma tego artykuły, i głównych jego współpracowników. Przyznać muszę że karykatury były ułożone z dowcipem. Szkoda tylko, że pan Józef w każdem, najpożyteczniejszem przedsiębiorstwie woli szafować dowcipem niżeli pieniędzmi.

Albo znowu gdy raz w sąsiedztwie naszem powstała myśl składki na młyn parowy, pan Józef nie miał spokoju ani w dzień ani w nocy, jeno jeździł i na prawo i na lewo, a debatował w tej rzeczy z wymową i logiką godną parlamentu angielskiego, póty, póki nareszcie nie uformował komitetu akcyonarjuszow na młyn parowy. Naturalnie sam był jednym z głównych onego komitetu członków, a czynnym, a gadatliwym nad miarę. Lecz gdy w rzeczy samej przyszło już do czynu, gdy akcye z papieru miały się przenosić na monetę brzęczącą, pan Józef, jak czmychnął z komitetu, to się nie obejrzał aż w domu, a dawnych kolegów swoich, stosując rzecz nie bez dowcipu do zamierzonego przedsiębierstwa nazwał: Donkszotami walczącemi z młynem.

Na wołowej by skórze nikt nie spisał wszystkich tego rodzaju pana Józefa przejść i figlów. Jako dystyngowany agronom, dbały o postęp rolnictwa w kraju naszym, skoro się zawiązało towarzystwo agronomiczne, pierwszy pan Józef wszedł do niego; i nie mógł się nachwalić tej tyle dla ogółu pożytecznej myśli. I wszystko było dobre podług jego zdania, póki towarzystwo pierwsze i po prawdzie powiedziawszy nie zbyt żywe stawiało kroki. Lecz gdy towarzystwo odpowiednio celowi swojemu zaczęło brać się czynniej i praktyczniej do dzieła, pan Józef wyniósł się zaraz z towarzystwa, i zaczął dowodzić, że wszystko źle idzie, że towarzystwo całe nic nie warte, a na członków wymyślał potężnie. A Dublany! Dublan kupno także mu się nie podobało mocno. Po co? dla czego? powtarza ciągle i gniewa się nawet na prawdę, gdy mu kto wspomni o pożytku jaki wypaść może z szkoły jaka ma się w Dubla-

nach otworzyć. Warto słyszeć jak dowcipnie drwi i szydzi z tych wszystkich, którzy poczciwem wiedzeni uczuciem, przemawiają do serc obywatelskich, aby ten zakład nowy, nowemi wspierać ofiarami.

To wszystko wszakże nic jeszcze nie znaczy. Najlepszy dowód swojego negacyjnego w społeczeństwie położenia, i pochodzenia oczywistego z rodziny Sicińskich dał pan Józef gdy sie miał zejść sejm krajowy. Póki sejm był sejmem małoczynnym, był on bardzo dobry dla potomka posła Upitskiego. Lecz gdy sejm ten wyższe miał zająć stanowisko, i w ówczesnych okolicznościach przyłożyć się mógł jak najwięcej do rozwikłania zagmatwanych stosunków, nowy Siciński, wierny rodowitej krwi swojej, oparł się temu jako najmocniej, i do rozbicia go przyłożył się jak najwięcej. A przyłożył się do tego po swojemu: dowcipem !. I po raz podobno pierwszy wystąpił w ówczas na mownicę i szyderczej użył broni.

— Panowie! zawołał, szanujcie obrońców naszego sejmu! Oni są jak ów kapitan okrętu, który z oficerami swemi do ostatniej chwili powierzonego sobie niechcą opuścić okrętu. Wre w około burza, bałwany miotają na pół zgruchotanym okrętem. Okręt nic już nie wart, co mi do tego!. Roztrzaskany rozpada się w kawały, oni rękami i nogami ostatniej trzymają się deszczki. Panowie chwała im!.

Wszyscy na to w śmiech. Myśl sejmu upadła przygnieciona ciężarem śmieszności i dowcipem, a ci, co jasno patrzyli w przyszłość i słusznie jedyny ratunek kraju w tym sejmie widzieli, wyśmiani i wyszydzeni, z bolem serca rozejść się musieli.

Smutny to, bardzo smutny ten dowcip, rzucający się na wszystko co pożyteczne. I smutne to położenie być w własnem społeczeństwie Sicińskim, posłem Upitskim.

K.

W sprawie towarzystwa gospodarskiego.

(Z Podola.)

Pan △ wzywając swemi listami gospodarskiemi kraj do żywego spółudziału w działaniach towarzystwa agronomicznego, do gorliwego zajęcia się szkołą i gospodarstwem w Dublanach, obruszył tak mocno tonem swych listów, jakoteż ich przedmiotem, korespondenta pod znakiem ı‖ı, ze tenże, acz jak sam z góry wyznaje, nie należy do towarzystwa agronomicznego, podnosi żwawo rękawicę i w obronie mniemanej urazy honoru tegoż towarzystwa i szlachty wiejskiej staje. Ależ w tym razie i my którzy tutaj żyjemy na wsi i przewracamy rolę, a więc należemy do tej rodziny, której rzecznikiem pan ı‖ı się ogłosił, mamy przecież prawo głos podnieść, i także słówko jakieś o sobie i całej tej rzeczy przemówić.

I o cóż to tyle krzyku i gniewu sz. korespondencie?. Pan △ wzywa szlachtę ze wsi do założenia szkoły rolniczej, do przyczynienia się ażeby biblioteka, narzędzia i zbiory Towarzystwa agronomicznego były przechowane w odpowiedniem sobie pomieszkaniu, do popierania wreście wszelkiemi możliwemi środkami, rzeczy dążącej do podniesienia przemysłu, bogactwa i oświaty krajowej a więc do celów godnych ze wszechmiar zajmować myśl i starania obywateli kraju oświeconego.

Sądziszże Mości korespondencie ı‖ı że szlachta na wsi, dla tego że na wsi, a więc porodziła się w kraju Kafrów i Malgaszów, ażeby wyrazy szkoła, przemysł, biblioteka, książki,... ażeby przemówienie do jej spółczucia w podobnych przedmiotach mogły w niej zrodzić urazę, gniew, lub nawet oburzenie?. Ale pan △ przemawia nieco chropawo, niegrzecznie, nawet gburowato, dosadnie, bez ukłonów, bawełny i rękawiczek, poruszył drażliwą kwestyę o słowo honoru, w tem sęk, w tem wina... Wiedz Mości korespondencie że członkowie Towarzystwa agronomicznego, że szlachta ze wsi, pełniąc jak Bóg przykazał sumiennie obywatelskie swe powinności, nie lęka się tak łatwej utraty honoru, za lada pierwszem lepszem, chociażby zbyt ostro wypowiedzianem jej słówkiem, jeżeli tylko to słówko ma na celu poczciwą sprawę, i dobro ogólne. Szlachta ze wsi czuje i wie; że honor prawego obywatela zasadza się na tem, ażeby być pierwszym głową i ręką, poradą i wsparciem, tam gdzie idzie o podniesienie oświaty, o sprawę, dobry byt całego kraju na celu mającą, a przeto mniej ona ma urazy do pana △ za jego zbyt gorliwe, zbyt ostre w dobrej sprawie przemówienie, bo przemawiając właśnie tem samem dowiódł pan △ że ufa w szlachetność tych, do których mówił, inaczej nie byłby psuł sobie na prózno czasu i atłasu, mniej mówię szlachta ze wsi ma urazy do pana △ za tę jego ufność w niewygasłą jej prawych serc szlachetność, którą do czynniejszego udziału rozbudzać sobie przedsiewziął, niż do ciebie Mości korespondencie ı‖ı który traktując w imieniu naszem przedmioty dotyczące oświaty krajowej tak lekko jakby to było Twoje własne segaro lub rękawiczka, mógłbyś nas podać w podejrzenie, że to nad czem światli ludzie w innych krajach Europy, zwykli się sumiennie zastanawiać i pracować, nas wszystkich tak mało obchodzi jak Ciebie, że nie jesteśmy w stanie dorównać temu surowszą myślą i zastanowieniem, że zaledwie lekkim dowcipkiem na najsurowsze i na najważniejsze kwestye odpowiadać umiemy. Taka obrona Mości korespondencie! więcej nam ubliża niż w dobrej sprawie podjęta napaść pana △ i najmocniej też przeciwko takiej obronie protestujemy.

Ależ rozprawy tow. agr. nudne, nieużyteczne, nie stosowne do naszego położenia i kraju, niewarto nawet poświęcenia co pół roku tych mizernych dwóch sorokówców na ich nabycie, ależ książki i narzędzia mogą się pomieścić nie przeczę w ciasnym kącie wraz z sekretarzem i kancelistami, tem bardziej że mamy już jednę obszerną i sławną na cały kraj bibliotekę imienia Ossolińskich, ale co gorsza komitet źle zarządza sprawą towarzystwa, stracił sympatyę, kupił nieurodzajne Dublany, ze stawkiem małym, błotnistemi łąkami i bez budynków.., Och! wierz mi Mości korespondencie łatwiej i stokroć łatwiej napisać sto, dwieście na dzień najdowcipniejszych korespondencyi i recenzyi, w których to szast na lewo, szast na prawo każdemu się coś dostanie po uchu, po nosie, niżeli z wytrwałością i poświęceniem przez lat kilkanaście, pośród różnego rodzaju ciężkich trudności iść po zamierzonej drodze do tego pięknego celu, którym jest wzbogacenie ziemi na której żyjemy ku pożytkowi i dobru współrodaków naszych. Cóż dziwnego gdyby śród tylu wysileń i przykrości nie jeden nawet mylny krok się postawiło. Wszak łatwiej było siedząc za wygodnym stołem przenicować i potępić całą wyprawę Kolumba, niż na tym stole jedno jajko postawić. Mająż nas tak bardzo gorszyć książki i rozprawy?. Że tam Twój sąsiad mości korespondencie ı‖ı czytuje książki i ma piękną bibliotekę, więc Ty już ani je czytasz ani kupujesz. Dobrze to w swoim domku, ale ażeby Towarzystwo agronomiczne, ażeby cały kraj szedł za tą logiką, trudno dzisiaj wymagać. A nudne rozprawy... Być może że nudne, zawsze przecież gdzie kilkadziesiąt światłych osób zastanawia się nad jakimś przedmiotem, rozmowa ich pewno więcej będzie zajmująca, niż Twoja n.p. sza-

nowny korespondencie. i piękna i dosyć długa historyjka o marchwi; a gdyby nawet rozmowa ta zawierała rzeczy nie dające się zastósować do kraju, toć i to warto poznać, by wiedzieć co niestosowne, czego uniknąć, a czego się trzymać i co uprawiać. Ależ któż winien moi Panowie że rozprawy nudne i niestosowne? Wszak pole otwarte. Zróbcie je zajmującemi i korzystnemi, wzbogaćcie owocami własnej nauki i doświadczenia. Stokroć to będzie szlachetniej niż najdowcipniej przedrwiwać obce, sumienne usiłowania i obruszać się na wezwanie do małych ofiar, czynione w imię dobra powszechnego.

Porównajmyż raz jeszcze listy obu walczących z sobą korespondentów a obaczemy w którego też głosie więcej się pożytku dla kraju zawiera: Pan △ niegrzeczny, obrażający, gbur nawet, ale pan △ chce szkoły z której by wyszło pokolenie wzbogacone nauką zdrową, pożyteczną i praktyczną, z myślą jasną, z energią do pracy, ale pan △ chce biblioteki starannie zachowanej i uporządkowanej, zbiorów reprezentujących godnie krajowy przemysł i stopień jego wykształcenia, stanowiący wzór i zachętę, otwartą niby księgę doświadczenia i nauki na dziś i na później, stawiącą nas na równi z ościennemi sąsiadami, ale pan △ chce i woła o gospodarstwo wzorowe, o udzielanie mu pomocy, o spółudział kraju, ażeby jeżeli jest dziś chybione i niewzorowe, stało się w przyszłości wzorowem, do potrzeb i natury kraju zastósowanem, a tem samem dobroczynne skutki na cały kraj wywarło. O! dla tych celów chętnie przebaczamy panu △ urazę. jego ton nie właściwy, niegrzeczny, niestosowną drogę którą poszedł. Ale cóż z drugiej strony da nam grzeczna i dowcipna korespondencya jego przeciwnika, a naszego nibyto gorliwego obrońcy i dobrze nam życzącego pana ✠? Oto dykteryjkę o marchwi, dowcipną mappę własnego wymysłu z kanałem i Pełtwią, ale podobno więcej nic. Pan △ powiedział w prawdzie to słowo *daj* o! zgrozo, w tonie jakiegośmy dotąd nie słyszeli, ale powiedział *daj* na bibliotekę, *daj* na szkołę, *daj* na gospodarstwo wzorowe, które choćby przedsiębrane na gruncie najniewdzięczniejszym i iłowatym stokroć więcej przyniesie korzyści, niż najdowcipniejsza szermierka, która śmiać się tylko umie, ale nic zbudować nie potrafi. Minął wiek złoty i sam śmiech nie wystarcza. Dla tego z chęcią przebaczamy urazę panu △ i z szacunkiem chętnie wyciągamy doń rękę, bo on nie ubawił nas wprawdzie marchwiannemi dykteryjkami, ale poważnym głosem w imię poczciwej sprawy do nas przemówił.

Z.

Teatr polski.

Przedstawienie na korzyść pani Aszpergerowej zgromadziło tak liczną publiczność, iż żadnego miejsca nie było wolnego. Rzęsistemi oklaskami przywitano beneficyantkę. Przedstawiano komedyą z francuskiego Serret'a: *Co powie świat?* Bardzo zręcznie jest poprowadzona osnowa tej sztuki. Trzy postacie występują przeważnie; młody Courtenay kocha się w Amelii, margrabinie Verneuil, wdowie. Lecz stosunek ich sięga jeszcze czasów gdy żył margrabia. Courtenay otrzymuje spadek i postanawia żenić się z młodą wdową, swą kochanką. Tymczasem romans jego z margrabiną nie był tajemnicą dla świata, a świat na karb tego jednego stosunku obwinia ją o rozmaite inne, posądza ją o każdego mężczyznę co się do niej zbliżał. A że była kochanką jednego, więc głoszą iż była kochanką drugiego i trzeciego. To dochodzi do uszu Hermana Courtenay. Jej zła sława boli go mocno. To zazdrość, to wstyd, co powie świat gdy się z osobą tak złej sławy ożeni, miota nim na przemian. Dręczy tem siebie i margrabinę. Po kilkakroć dowiaduje się o płonności i bezzasadności obmów świata, lecz zawsze nowe wątpliwości w nim powstają. Była jego kochanką, ha, więc mogła być i kochanką innego. Zresztą w tem widzi umartwienie i poniżenie dla siebie iż świat coś podobnego chociaż niesprawiedliwie gadać może. Słyszy nawet jak jeden z przyjaciół jego ofiaruje margrabinie siebie i swój majątek ale nie rękę. Choć ona to z oburzeniem odrzuca, zawsze jednak już tym samym projektem za skalaną ją uważa. Do tego jeszcze stryj jego, stary napoleoński jenerał jest dla niego tem zwierciadłem, w którem się jego sumienie przejrzeć może. W stanowczej chwili rostacza mu obraz cały nieszczęśliwej jego przyszłości, gdy się ożeni z kobietą podobnej sławy, choćby niezasłużonej, gdy się ożeni z kochanką, wdową, która już za życia męża pierwszego przysięgę małżeńską łamała.

Młody Courtenay widzi tę przyszłość jasno przed sobą, lecz słowa dotrzymać chce. Przebywa walkę wewnętrzną, ale do przeprowadzenia tej walki dopomaga mu właśnie margrabina, która podsłuchawszy rozmowę jego z stryjem, sama ujrzała, jaka dla niej i dla Hermana z tego małżeństwa gotuje się smutna przyszłość. Ona sama zrywa ten stosunek.

Rola margrabiny po mistrzowsku była odegrana. Od pierwszego aż do ostatniego aktu, w każdej scenie była główna myśl jej charakteru oddana wyraziście. Ona kochała całą duszą Hermana, ale błąd który popełniła, zamącał jej spokój. W małżeństwie z Hermanem widziała chrzest oczyszczenia swego, konwulsyjnie więc tego małżeństwa pragnęła. Śród niepokoju, trwogi i obawy, chwytanie każdego promyka nadziei ślubu z Hermanem, śród szczęścia, urzewistniającego jej życzenia znowu niepokój i boleść jako skutki jej błędu. W duszy świadomość tego jednego błędu, w obmowie świata obwiniania zaś o inne błędy których nigdy nie popełniła, oto czynniki jej charakteru, który pani Aszpergerowa dokładnie pojęła i z całą świetnością swego talentu w najzupełniejszej całości przeprowadziła.

Tego o roli Hermana Courtenay (Kaliciński) powiedzieć nie możemy. Całkowitego charakteru nam nie przedstawił. Każda scena była oderwana. Walki między miłością, zazdrością a wstydem, co świat powie, w czem to ostatniem właśnie główna myśl całego dramatu leżała, walki tej coraz więcej przez wszystkie akta stopniującej się, tak aż w końcu przesilenie nastąpiło, niezdołał przeprowadzić konsekwentnie. Jego boleść w pierwszym i ostatnim akcie kubek w kubek do siebie podobne były, chociaż w sztuce przedzielało je stopniowanie, cały rozwój namiętności.

Dodajmy do tego iż pan Kaliciński zawsze gra, zawsze udaje, ani na chwilę całkowicie nie jest charakterem, który przedstawia, lecz zawsze jednym i tym samym Kalicińskim.

Nierównie więcej talentu objawia często pan Linkowski. To jest artysta, który umie prawdę życia oddać na scenie. On nie udaje charakteru roli, on się wciela w charakter przedstawiany. Panu Linkowskiemu potrzeba jedynie stosowne do jego usposobienia fizycznego dawać role, a będzie jedną z pierwszych ozdób sceny. Ma on wymowę rubaszną, akcentowaną w sposób właściwy ludziom niższego stanowiska społeczeńskiego. Każdy to wie że po głosie poznać można stanowisko człowieka jakie co do oświaty zajmuje. Źle wydaje się więc pan Linkowski w rolach wyższych; głos, wymowa i mimika podstarościego żadnym sposobem nie przypadają do charakteru jenerała. Ztąd też pomimo niezaprzeczonego talentu, pomimo iż widocznie usiłował unikać wszelkiego karykowania, i poważniejszym się być starał, zepsuł zupełnie, w całości dramatu piękną bardzo rolę jenerała Courtenay. Zwycięzca w kilku bitwach, osiwiały w służbie jenerał wyglądał jak ławnik z małego miasteczka.

Jednym z młodych ludzi, rokujących nieposzlitą dla sceny nadzieję, jest pan Wilkoszewski. Dotąd on często błędną chodzi drogą, często nie umie upostaciować charakteru. Jest przecie w grze jego prawda, a w kształceniu się znać pracę sumienną. Chybia nieraz wzięciem jednej strony charakteru, za wyraz wyłączny. Gdyby był w komedyi: *Co powie świat*, rolę Felicyana Rimbaud wziął poważniej, a z słabości dla żony nie zrobił wyłącznej maski dla całego

charakteru nie stanowi jeszcze całości. Poważny, przyzwoity mąż, bez śmieszności w każdym geście i w głosie, tem więcej kontrastem, słabością dla żony uderza widza, podczas gdy sentymentalny, we wszystkiem słodziutki głupiec zupełnie nas nie frapuje, gdy i w stosunkach z żoną jest tymże samym głupcem.

Pani Aszpergerowa w końcu pożegnała publiczność i scenę, której przez lat czternaście swym talentem przyświecała. Pożegnała się z publicznością, albowiem ..... Otoż niewiemy co za powód tego pożegnania podać. Czy sama się usuwa, czy dyrekcya jej angażować nie chce? Trudno bowiem pojąć, z jakich powodów dyrekcya dążyłaby do własnego upadku, usuwając artystkę która jest najgłówniejszą podporą sceny tutejszej, bez której ani jednej wyższej komedyi, żadnego dramatu i trajedyi przedstawić cokolwiek znośnie nie podobna. W interesie więc zajmującej się sceną powszechności prosilibyśmy artystkę lub dyrekcyą o wyjaśnienie, — lecz nie o takie wyjaśnienie, jakie dyrekcya dała w afiszu, z którego prawdziwej myśli i całe kolegium prawników nie wydobędzie. Bo któż zrozumie następujące oświadczenie od dyrekcyi teatru: „Z dniem 1go kwietnia r. b. kończy się pierwszy okres dziesięcio-letniego kontraktu, którym pani Aszperger ma upewnione już angażowanie na czas dalszy. Dyrekcya teatru, przychylnie do osnowy tegoż kontraktu, daje nową sposobność pomienionej artystce korzystania i na przyszłość ze względów Szanownej publiczności, których w dniu ogłoszonego obecnie benefisu, z całą ufnością oczekuje."

* Od roku już nowa dyrekcya wydziela panu Smochowskiemu same podrzędne role, zamyślając zapewne, jak to czynią w podobnych razach dyrekcye, przyzwyczaić publiczność, iż bez tego artysty scena obejść się może; innego bowiem celu trudno się domyślec. Otóż na benefis swój wybrał sobie pan Smochowski sztukę: *Lear* Szekspira, gdzie talent swój w całej swej pełni rozwinąć może. Benefis ten dany będzie w Piątek, dnia 9. marca.

Przyjechali od dnia 28. Lutego do 2. Marca do Lwowa.

PP. Dzieduszycki Aleksander hr. z Wiednia. Krzanowski Ignacy, z Cwitowa. Dzieduszycki Kazimierz hr. z Niesłuchowa. Micewski Edward, z Taczemp. Dzieduszycki Włodzimierz hr. z Poturzyc. Mrozowicki Michał, ze Sokołówki. Piłatowski Marcel, z Bobrki.

PP. Starzewski Ignacy, z Chlebowic. Blicharski Paweł, z Grodka. Jaroszyński Nereusz, z Małych wod. Brückmann Henryk bar. z Mainicza. Konopka Henryk, bar. z Tarnopola. Malczewski Juliusz ze Skwarzawy. Chwalibóg Jan, z Lipowiec. Mars Józef, z Krakowa.

Wyjechali od dnia 28. Lutego do 2 Marca ze Lwowa:

PP. Ptaszyński Stefan, do Nowosiółki. Pohorecki Roman, do Warszawy. Smarzewski Seweryn, do Rymanowa. Borkowski Bolesław hr. do Przemyśla. Gross Piotr do Koniuszek. Gorajski Kazimierz do Złoczowa. Jarzymowski Wojciech, do Jaryczowa. Zawadzki Karol, do Kruszelnicy. Stadnicki Jan hr. do Boratyna.

PP. Raszowski Stanisław, do Czarnego. Kozłowski Zygmunt, do Cieszyna. Rossowski Kajetan do Jaworowa. Tworowski Karol, do Hołynia. Dzieduszycki Aleksander hr, do Lachowic. Zarzycki Tytus, do Chotyluba. Żołkiewicz Konstanty, do Zółkwi. Głogowski Artur, do Bojaniec. Dzieduszycki Wacław hr. do Micowa. Urbański Rudolf, do Dobrosina.

Lwów, 2. Marca. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 33 złr. — kr. do 41 złr. 15 kr. — Żyta po 26 złr. 15 kr. do 32 złr. — kr. Jęczmienia po 23 złr. 30 kr. do 25 złr. 30 kr. Owsa po — złr. — kr. do — złr. — kr. Grochu po — złr. — kr do 37 złr. 40 kr. Hreczki po — złr. — kr. do 23 złr. — kr.— Ziemniaków po — złr.— do 13 złr. 15 kr. Sąg drzewa bukowego 35 złr. — kr. do 40 złr. — kr. Sosnowego po 26 złr. — kr. do 30 złr. w.w. Cetnar siana 3 złr. 20 kr. do 5 złr. 8 kr. Centnar słomy 2 złr. 10 kr. do 1 złr. 43 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 2. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. .	$128\frac{1}{2}$	Pożyczka 5% $81\frac{3}{16}$ $4\frac{1}{2}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	$94\frac{1}{2}$	Akcye banku	997
Londyn za 1 funt szterl.,	12 29	Kolej północna	1900
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	—
Paryż za 300 franków .	$149\frac{3}{4}$	Nowa pożyczka z loteryą	$107\frac{1}{4}$
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa . .	$85\frac{15}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	55	złr.	5	kr.	58
Dukat cesarski	«	6	»	—	»	6	«	3
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	19	»	10	«	24
Rubel srebrny rosyjski	»	2	«	—	«	2	»	1
Talar pruski	»	1	«	56	»	1	«	57
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	26	»	1	«	27
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	92	«	20	»	93	«	10
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		75	»	5	»	75	»	20
5 proc. pożyczka narodowa		85	»	—	»	86	«	—

Numer Sobotni „Nowin" zabrany przez urząd prasy, wydany być nie mógł.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**